

Jaka piękna katastrofa

Autor: Jakub Bożydar Wiśniewski

Gdyby nie to, że przewidzenie trwającej obecnie recesji i określenie kierunku jej rozwoju nie wymagało zdolności wieszczych, ostatnie wydarzenia w Grecji można by uznać za spełnienie się kolejnego kasandrycznego proroctwa ekonomistów szkoły austriackiej. Mieszanka bankowości centralnej, odgórnie narzuconego pieniądza fiducjarnego i keynesowskiej recepty na pobudzanie rozwoju gospodarczego poprzez deficytowe wydatki ponownie okazała się wybuchowa.

Wypadki greckie zdają się znamionować nadejście drugiego etapu recesji — po kryzysie instytucji finansowych przyszła pora na kryzys długu publicznego. W istocie są one przedsmakiem tego, co może się przydarzyć także Stanom Zjednoczonym, w przypadku gdy tamtejsza administracja kontynuować będzie działania oparte na przeświadczeniu, iż z zapaści gospodarczej można wydobyć się metodami politycznymi, bądź – by być dosadniejszym — nakazowo-rozdzielczymi. Jeśli ponadto feralnym skutkiem tych ostatnich przeciwstawiona zostanie monetyzacja zaciągniętego długu (czyli wykupienie przez bank centralny obligacji rządowych za dodrukowane pieniądze), wówczas kryzys wejdzie w swą trzecią i zarazem ostatnią fazę — fazę załamania walutowego.

Bardzo podobny scenariusz grozi także strefie euro. Poza funkcjonowaniem parytetu kruszcowego (lub szerzej — towarowego), jednym z głównych ograniczników inflacyjnej samowoli dowolnego banku centralnego na świecie jest możliwość osłabienia się emitowanej przez niego waluty względem innych walut narodowych. Natomiast kluczowym ogranicznikiem budżetowej nieodpowiedzialności dowolnego rządu jest groźba, że to na jego kadencję przypadnie konieczność ogłoszenia niewypłacalności, bądź programu oszczędnościowego niezbędnego do jej uniknięcia. Projekt polityczny, jakim jest wspólna waluta europejska, usuwa oba te ograniczniki — skutkuje on zjawiskiem „tragedii wspólnoty”, czyli pojawieniem się wśród krajów członkowskich strefy euro pobudki do tego, by zadłużać się kosztem swoich co zapobiegliwszych partnerów. Pobudka ta, co niestety było przewidzieć, bardzo szybko udzieliła się wszystkim członkom wspólnoty, co niemal całkowicie pozbawiło ją cnoty zapobiegliwości. Dość wspomnieć, że co prawda nie wszystkie kraje strefy euro znajdują się obecnie w sytuacji Grecji (czy powoli zmierzających

w jej ślady Hiszpanii czy Portugalii), ale żaden z nich nie spełnia uzgodnionych wspólnie kryteriów dyscypliny budżetowej (włączając ich głównego orędownika – Niemcy).

Rzecz nie tylko w czysto ekonomicznej i oczywistej obserwacji, że jakakolwiek wspólnota gospodarcza, której wszyscy członkowie są względem siebie dłużnikami, nie jest w stanie przetrwać. Rzecz również w spostrzeżeniu natury moralnej, iż we wspólnocie wyposażonej we wspólną walutę i mogący mnożyć ją na zawołanie biurokratyczny *lapis philosophorum*, każdy uczestnik zostaje poddany pokusie ukradkowego redystrybuowania tytułów własności od ogółu posiadaczy w kierunku siebie i swojej bezpośredniej klienteli. Co więcej, każdy jego sukces na tym polu tym mocniej skłania pozostałych do podjęcia podobnych, w dłuższej perspektywie destruktywnych dla całości, działań. Tak było w przypadku amerykańskiego kartelu polityczno-bankowego i tak jest w przypadku „kartelu” złożonego z krajów eurostrefy, w ramach którego Europejski Bank Centralny już w tej chwili udziela bankom komercyjnym świeżo wytworzonych, niskoprocentowanych pożyczek, akceptując jako poręczenie wyżej oprocentowane obligacje greckiego rządu.

W świetle powyższych uwag coraz prawdopodobniej brzmi prognoza Jima Rogersa, wedle której eurowalucie pozostało jeszcze najwyżej 20 lat życia. Warto jednak w tym kontekście dodać, że słabością euro nie jest jego „wyłączność” ani „pojedynczość”, lecz to, że jest ono jedynie kolejnym pieniądzem fiducyjnym. Aby przestało takim być, konieczne byłoby zlikwidowanie szeregu biurokratycznych przeszkód, począwszy od zniesienia wobec euro (oraz fiducyjnych walut narodowych) statusu wyłącznego środka płatniczego oraz zniesienia podatku od obrotu złotem (bądź jakimkolwiek innym kruszcem lub towarem mającym szansę stać się powszechnie akceptowanym, twardym zabezpieczeniem tytułów własności wykorzystywanych w transakcjach rynkowych).

Rezultatem takich zmian byłyby prywatyzacja (lub rozumiana po Hayekowsku „denacjonalizacja”) pieniądza, która z kolei wymusiłaby prywatyzację strat nieodpowiedzialnych rządów oraz ich klienteli w sektorze bankowym. Podobny rozwój wydarzeń nie tylko zabezpieczyłby własność prywatną politycznie nieustosunkowanych jednostek, ale również wyeliminowałby pokusę nadużycia wśród osób dobrze zakorzenionych w świecie polityki.

Czy wypadki greckie stwarzają jakiegokolwiek szansę na zmiany w tym kierunku? Wydaje się, że faza kryzysu długu publicznego jest tu znacznie bardziej obiecująca niż poprzedzająca ją faza kryzysu instytucji finansowych. O ile punktem zapalnym tej pierwszej były kłopoty

podmiotów powszechnie uznawanych za wolnorynkowe, podczas gdy ich etatystyczne fundamenty zdołały skutecznie ukryć się w tle, o tyle niewypłacalność rządów i deficyty budżetowe trudno w jakikolwiek sensowny sposób powiązać z domniemanymi słabościami gospodarczego liberalizmu. W związku z tym, trudno też będzie pozostać dłużej w ukryciu rzeczywistym winowajcom – i nawet jeśli społeczna reakcja na aktualne wydarzenia przybierze formę apelu o zastąpienie złego etatyizmu dobrym, będzie to musiał być etatyizm dużo potulniejszy, oszczędniejszy i mniej uciążliwy dla wolnego rynku niż ten obecny. A to oznacza, że w obliczu rozgrywającej się na naszych oczach „pięknej katastrofy” pozostaje miejsce na ostrożny, ale optymistyczny uśmiech.

9 maja 2010